

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

41

— Ta przeżegnajże się panna lewą ręką!... Rozum odchodzi cię czy co?!

Józia nie odpowiada teraz już nic. Dyszy tylko głośno i ciężko. Głowa chyli się niżej, coraz niżej i wreszcie zwisa bezwładnie na ramieniu Migdałowej.

— O! Rany Boskiel... — wrzasnęła kobieta — też ona chora!... gorączka aż pali!... A dyabli nadali z takim interese!.. Taki szczerzoty pan i masz!... Pani Błażejowa!... pani Błażejowa!... A chodźże tu pani — bo ta umiera czy co!...

Radca-emeryt z trudem odszukał odrapaną kamieniczkę, w której mieszkała Józia Żarnicka. Naprawdę przez kilka minut przyciskał palcem guzik dzwonka.

Nikt się nie zjawiał — bo dzwonek był zepsuty, o czym radca oczywiście nie mógł wiedzieć.

Jakiś drab o zapuchniętej twarzy i ponurem wejrzeniu przeszedł przez bramę, spoglądając na staruszkę z podejrzliwie.

Ohydne wyziewy były z podwórka, z ciemnych jak czeluście sionek.

Radca wzdrzynał się.

— Boże Wielki!... i to ona tutaj mieszka — takie delikatne, słodkie stworzenie!... Że też nie wybrałem się wcześniej!...

Radca od dnia, kiedy się dowiedział o wydaleniu Józii z cukierni Musiałków, postanowił sobie odszukać młodą kobietę, dla której powziął silną sympatię i wsołczucie.

Domyślał się, że zapewne potrzebuje pomocy i że przy swojej niezaradności i widocznym braku wyobienia życiowego może się z łatwością znaleźć w rozpaczliwym położeniu na bruku lwowskim.

Codziennie prawie wybierał się na policyę, aby się dowiedzieć, jaki jest adres Józii, ale i codzień odkładał to na jutro... Tak jakoś schodziło... To to, to owo zawsze weszło w drogę...

— Już jutro... jutro napewno... — mówił sobie co ranka.

Nareszcie znalazł wolną chwilę czasu, poszedł na policyę, dowiedział się adresu i odszukał.

Po kilkakrotnych nieudanych próbach dzwonienia zaczął oglądać się za mieszkaniem stróża. Dojrzał wkońcu napis skreślony kosztawami literami: „Dozorca domu”.

Pchnął drzwi. Z wnętrza owionął go opar gorącej wody i zaduch brudnej bielizny. Z mgieł wilgotnej pary wynurzyła się Błażejowa z mokremi od mydlin rękoma.

— Czy to wy jesteście stróżką?

— A ja. A czego? — zapytała burkliwie, ocierając ręce w brudny fartuch.

— Czy tutaj mieszka Józefa Żarnicka?

— A mieszkała, o! tam w tej „suteryni”, ale już nie mieszka.

— Wyprowadziła się? Dawno?

— No wyprowadziła, jak wyprowadziła... Zabrała ją.

— Jakto zabrali? Kto? Gdzie?

— A „karyłką” do szpitala — objaśniała Błażejowa.

Do szpitala? Węc zachorowała?

— Jeszcze jak!... Gorąco od niej buchało, jak z pieca, a oczy to miała całkiem przewrócone i coś ta gadała od rzeczy... Mnie się widzi, że ona na księżą oborę patrzy.

Radca przesunął ręką po czole. Zrobiło mu się dziwnie niewyraźnie koło serca. Milczał.

Siróżka przyglądała mu się ciekawie.

— O! zabiedowała się... — zauważyła.

— To ona taką biedę cierpiała? — szepnął staruszek.

— O! Rany Boskiel!... W gębę włożyć co nie miała!... Z łachów to się na „glanc” wysprzedała... A pan może z „famielii” co?

Nie czekając odpowiedzi, dalej mówiła:

— Szkoda, że się pan nie pospieszył, bo teraz, to kto wie, czy z niej co jeszcze będzie... Co się to namęczyło!... Widać było, że pańskiego rodu, a do najprostszej roboty godzinę się chciał!... Ino kto by ją brał, kiedy chuchro było takie.

— Tak... tak...

— Honornie się trzymała, ani słowa... Na złe, choć namawiali, puścić się nie chciała... Ja też jej, jak mogłam „dospomogalam”. Po prawdzie — dodała zerkając z pod oka na siwego pana — to mi jeszcze pięć koron winna została...

Radca zrozumiał przymówkę i sięgnął do kieszeni:

— Macie tutaj... Płacę ten dług — rzekł, podając babie banknot dziesięciokoronowy.

— Dziękuję panu. Zaraz dam reśię.

— Nie trzeba.

— Całuję rączki, padam do nóżek wielmożnemu panu — zawołała uradowana.

Radca wyszedł na ulicę, jak odurzony. Pierwszej spotkanej dorożce kazał się wieźć do szpitala.

ROZDZIAŁ XX.

Panna Antonina Korzewska, ubrana w staromodną szubę z barankowym kołnierzem i czarny kapelusz, wiązany pod brodą na wielką kokardę, wyszła przed krakowski dworzec kolei, dźwigając sporą walizkę.

— Fiakier! — zawołała energicznie.

Ten i ów z dorożkarzy obrzucił przełotnym, krytycznym spojrzeniem pannę Antoninę i jej pakunek. Żaden nie podjechał. Pasażerów było dość i to zamożniej wyglądających, niż panna Korzewska w swoim skromnym, niemodnym ubraniu.

— Fiakier — krzyknęła jeszcze głośnie i jeszcze energiczniej, ale również bez skutku.

Dorożki odjeżdżały jedna za drugą. Pozostał wkońcu tylko jakiś młokos, powożący starą, dyhawiczną, iście po wojennemu wychudzoną szkapą.

— Wolny?...

— A gdzie pani chce jechać?

Panna Antonina wymieniła ulicę.

— Da pani pięć koron i płaci się z góry.

— Co to, kpiny? A to bezczelność!

— Taniej nie pojedę.

— Ja znam taksę!

— To niechże se pani taksą pojedzie... czemu nie?...

Panna Antonina, która postawiła już nogę na stopniu, cofnęła się i pasowa z gniewu, jęła krzyczeć:

— Ja cię nauczę, smarkaczu jakiś!... Na policyę skargę podam!.. ja ci pokażę!...

— Ojej! co mi pani ma pokazywać!... ja ta nie ciekawy na takie widoki!... — brzmiała flegmatyczna odpowiedź — Dorożkarz podciął konia balem i podjechał ku jakiemuś panu w szarej świcie.

Walizka była dość ciężka, więc panna Korzewska, widząc, że nie dostanie dorożki, zaczęła się oglądać za kimś, kto by jej odniósł pakunek.

Kilku bardzo młodocianych amatorów zarobku otoczyło ją.

— Ja pani zaniósę.. — ofiarował się jeden.

— Ja zaniósę... A daleko to? — pytał prze-zornie drugi.

Oddała walizkę temu, który proponował pierwszy swoje usługi.

— Chodź za mną.

— A trzy koronki zarobię? — zagadnął chłopiec, nie ruszając się z miejsca.

Ognie znowu uderzyły do twarzy starej panny.

— Czyś zwaryował smyku jeden? Czyście wy wszyscy tutaj powaryowali? Za taki kawałek drogi? Trzy szóstki dostaniesz!

Chłopak momentalnie postawił walizkę, a raczej rzucił ją na błotnisty bruk.

— Trzy szóstki!... Mogę pani jeszcze dołożyć koronę!.. Do chrzta z takim zarobkiem! rozumie pani!...

Odwrócił się pogardliwie. Towarzysze jego rozpięchli się, pozostał jedynie jakiś rudy, piegowały wyrostek.

— No, ja tańszy... Da pani dwie korony, to zaniósę...

— Nic nie dam!... Wynoś się hultaju!... Wolę sama nieść, niż dać się obdzierać takim łajdakom!...

Zatrzymując się często i postępując niekiedy, doniosła, jednak sama swoją walizkę do mieszkania Maliniewiczów.

Otworzyła jej drzwi służąca, młoda dziewczyna z grzywka, w pretensjonalne loczki zakręconą.

— Państwo w domu?

— Państwo śpią.

— Śpią jeszcze? O tej godzinie? Także coś!... — zamruczała — No to obudź ich i powiedz panu, że przyjechała panna Korzewska.

— Dobrze proszę pani — odparła dziewczyna, lustrując przybyłą krytycznie od stóp do głowy. Panna Antonina czekała prawie pół godziny w jadalnym pokoju, zanim się pojawił Maliniewicz zaspany jeszcze, nieumyty, nieuczesany w szlafroku i pantoflach.

Przywitał kuzynkę pytaniem:

— A! Antosia... Skąd się wzięła?...

— Jakto skąd? Koleją rozumie się przyjechałam, przecie nie z ziemi wyrosłam, ani z nieba spadłam... No, ale widać lubicie długo sy-pać, a to jest niezdrowo!... Gdzież twoja żona... — O! Idzie już... Adełko, to kuzynka moja, Antosia Korzewska!...

Kobiety podały sobie ręce dość chłodno, mierzając się wzajemnie nieufnym wzrokiem. Poczuli do siebie, na pierwszy rzut oka, coś jakby antypatyę.

— Obrzydliwe, złe stare pannisko!... — pomyślała Maliniewiczowa.

Wymalowana, złośliwa małpa! — zadecydowała w duchu stara panna.

Podano śniadanie, które pannie Korzewskiej, przywykłej do skromnego „wojennego” wikt, wydało się aż nadto wystawnem.

Nie podobał się jej elegancki ranny strój pani domu.

— Ona chyba nic nie robi — myślała, — że się od rana stroi we wstążki i koronki!... Miał też sobie wybrać!... Biedne dzieci!...

— Kuzynka na długo? — zapytała Maliniewiczowa, przyglądając się gościowi z niedbalym przymrużeniem oczu.

— To będzie zależało!...

Maliniewicz wtrącił jakiś zdawkowy frazes, panna Antonina coś odbąknęła, ale rozmowa nie kleiła się.

W końcu panna Antonina zapytała o swoją ulubienicę Kazię.

— Kazia jest w klasztornej pensjonacie — uczy się doskonale!...

— Tylko, że ta nauka bardzo słono kosztuje — zauważyła żona.

Maliniewicz wtrącił jakiś zdawkowy frazes, panna Antonina coś odbąknęła, ale rozmowa nie kleiła się.

W końcu panna Antonina zapytała o swoją ulubienicę Kazię.

— Kazia jest w klasztornej pensjonacie — uczy się doskonale!...

— Tylko, że ta nauka bardzo słono kosztuje — zauważyła żona.

Maliniewicz nachmurzył się jakoś i z pewnem niezadowoleniem spojrzał na żonę.

Panna Antonina zaczerwieniła się nagle, jak to zwykle bywało kiedy się w niej budził gniew.

— Przecież ma prawo do porządnego wykształcenia — powiedziała szorstkim tonem — takie dobre, zdolne dziecko!... Toż grzech byłby, żeby ją zaniedbać!...

— Moja Antosiu!...

— Pani zapomina, że czasy są ciężkie!...

— Ale obowiązki względem dzieci pozostają obowiązkami!... Zwłaszcza — dorzuciła z niezbyt wielkim taktem panna Korzewska — że matka miała przecież swój majątek, a Józia... no Józia... ta już nie wiele z tego korzystała!...

Maliniewicz gniewnie sfatłował czoło, zielone oczy jego żony błysnęły.

Zapanowała chwila przykry ciszy, którą przerwała pierwsza panna Antonina. Przelknawszy ostatni łyk kawy, odsunęła nieco filiżankę i rzekła:

— Właściwie to ja przyjechałam w sprawie Józii!...

Maliniewicz poruszył się niespokojnie. „Pieniędzy chce” mignęła mu myśl i zaraz za nią druga: „nie dam!”.

— Cóż ona robi? — zapytał obojętnie.

— Jakto, mnie pytasz, co ona robi? Ja właśnie chcę się od was dowiedzieć, co ona robi sama we Lwowie!...

— We Lwowie?!

— No pewnie, że jak mówię we Lwowie — to nie na Marsiel!...

Maliniewiczowie spojrzeli zdumieni po sobie. Radczyni prędzej niż mąż ochłonęła ze zdziwienia i ze złośliwymi ognikami w oczach zaczęła pytać:

— Węc Józia nie jest u pani?

— Skądże!...

— Nie była wcale?

— Anim jej na oczy nie widział!... Alboż miała do mnie przyjechać?...

Maliniewicz grzmotnął pięścią w stół.

— A to skandal! To szelma! I poci ja jej pieniądze dawałem!

— O co chodzi? Wyłomaczczyć mi, bo nie nie rozumiem.

— Węc pani nie wie o niczem? — pytała Maliniewiczowa, której teraz już i oczy i usta i cała twarz śmiały się złośliwością.

— Ależ o czem, na Boga!

— No o tem, że Józia uciekła od męża!